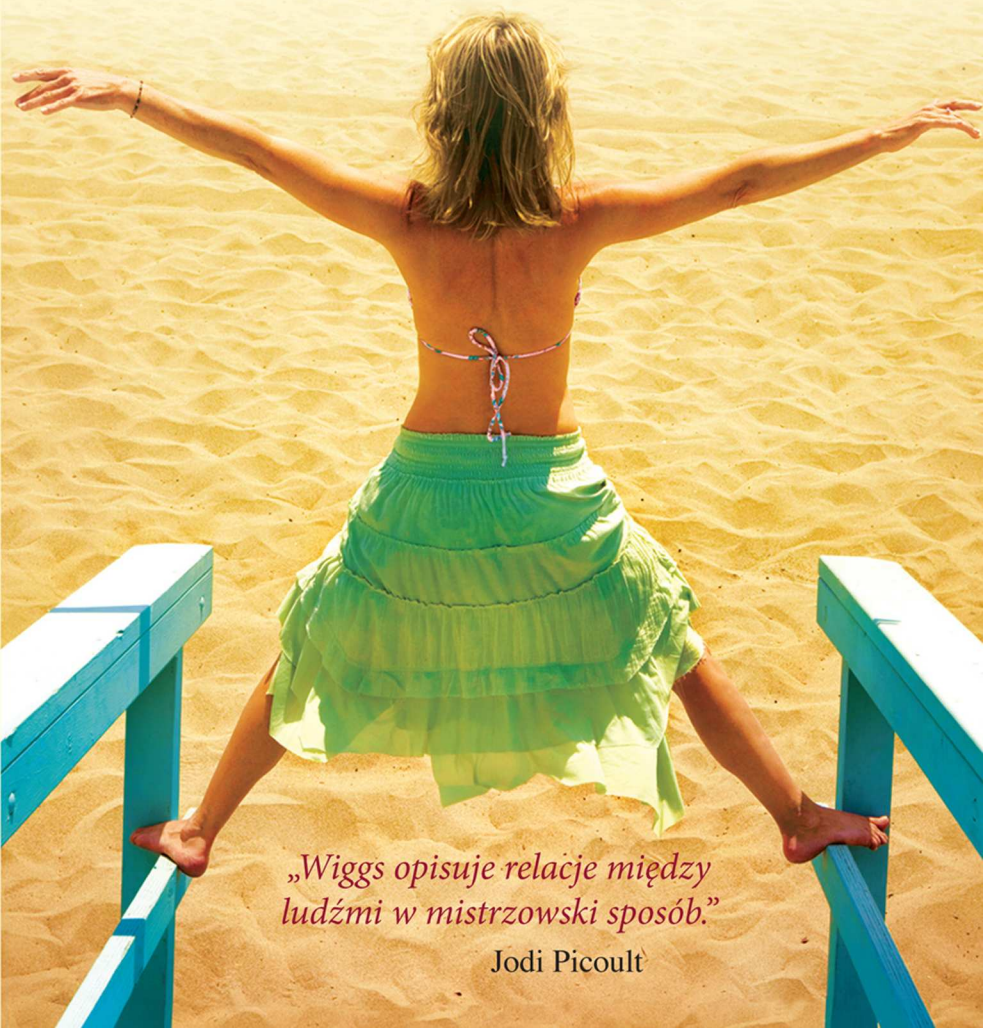


NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

SUSAN WIGGS

Obudzić szczęście



*„Wiggs opisuje relacje między
ludźmi w mistrzowski sposób.”*

Jodi Picoult

SUSAN WIGGS

Obudzić szczęście

Przełożyła
Anna Bienkowska



Tytuł oryginału:
Just Breathe

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2008

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordęga

Opracowanie graficzne okładki:
Kuba Magierowski

Opracowanie redakcyjne:
Maria Nowicka

Korekta:
Ewa Popławska, Maria Nowicka

© 2008 by Susan Wiggs
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin
Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane
w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych
– żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeX[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8201-5



CZĘŚĆ PIERWSZA





ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sarah przychodziła tu od dobrego roku i wystrój kliniki zaczynał coraz bardziej działać jej na nerwy. Może fachowcy od wewnątrz uważali, że stonowane barwy ziemi wyciszają emocje zaleźnionych przyszłych rodziców. Albo liczyli, że delikatny szum ściennej fontanny sprawi, że bezpłodna kobieta, jak kwoka nioska, spontanicznie wyprodukuje jajeczko. A może mieli nadzieję, że subtelne pobrzękiwanie mosiężnych dzwoneczków skutecznie wskaże właściwą drogę błądzącym po omacku plemnikom.

Była już po zabiegu, lecz na wszelki wypadek wołała jeszcze chwilę poleżeć z uniesionymi biodrami, choć ta chwila była niemożliwie długa. Już dawno odstąpiono od tej procedury, lecz Sarah, jak zresztą wiele kobiet poddających się inseminacji, była przesądna. Trzeba wykorzystać wszystkie możliwości, również siłę ciąży.

Ktoś lekko zapukał, drzwi otworzyły się cicho.

– Jak się mamy? – usłyszała głos Franka, dyplomowanego pielęgniarza. Frank był ogolony na łyso, miał tylko kępkę włosów nad brodą, kolczyk w uchu i różowy fartuch w króliczki. Fajny gość.

– Mam nadzieję, że tym razem użycie liczby mnogiej jest jak najbardziej uzasadnione – odpowiedziała, wyciągając ręce za głowę.

Jego uśmiech prowokował ją do płaczu.

– Pojawiły się skurcze?

– Nie większe niż zwykle. – Bez ruchu leżała na sterylnym stole, podczas gdy Frank zapisywał w karcie jej temperaturę.

Odwróciła głowę na bok. W sąsiadującej z gabinetem przebieralni widziała starannie ułożone na półce swoje rzeczy: cynamonową torbę od Smythsona z Bond Street, eleganckie ciuszki, oparte o ścianę botki z mięciutkiej skóry. I komórkę, z której mogła natychmiast połączyć się z mężem. Wystarczyło nacisnąć jeden przycisk. Albo powiedzieć słowo.

Na ten widok naszała ją gorzka refleksja. Niczego jej nie brakuje, jest hołubiona, ba, wręcz rozpieszczana. Jednak ta myśl nie sprawiła jej przyjemności czy satysfakcji. Zamiast tego poczuła się... staro. Jakby była panią w średnim wieku, a nie kobietą przed trzydziestką. Najmłodszą pacjentką kliniki. Większość kobiet w jej wieku nadal pomieszkuje ze swymi facetami w skromnie umeblowanych klitkach. Owszem, nie powinna im zazdrościć, czasami nachodziły ją takie ponure myśli.

W zasadzie nie powinny dręczyć ją wyrzuty sumienia, że poddaje się tym kosztownym terapiom. Ona nie miała problemów zdrowotnych, nie dlatego tu przychodziła. I czasami korciło ją, by to wyjaśnić.

Oboje z Jackiem pragnęli dzieci. Ich sytuacja nie była łatwa, więc poprosili o pomoc specjalistów. Sarah zaczęła dostawać clomid, by wspomóc matkę naturę. Początkowo miała opory; była stuprocentowo zdrowa i myśl o stymulacji hormonalnej budziła jej sprzeciw.

Z czasem wszystko jej spowszedniało, przyzwyczaiła się do wizyt u lekarzy, skurczy, badań USG, pobierania krwi... i przytłaczającego poczucia zawodu, gdy każde kolejne podejście kończyło się niepowodzeniem.

– Sarah, rozchmurz się – powiedział Frank. – Nie dołuj się, to zła karma. Według mojej absolutnie naukowej opinii.

– Nie łamię się. – Usiadła, uśmiechnęła się do niego. – Jest okay. Tylko że po raz pierwszy Jack nie mógł dziś tu ze mną przyjść. Czyli jeśli teraz się uda, będę musiała kiedyś wyjaśnić dziecku, że jego tatusia nie było przy poczęciu. I co ja mu wtedy powiem? Że wujek Frank go zastąpił?

– Jasne, to mi pasuje.

Powtarzała sobie, że nie powinna mieć żalu do Jacka. Nie jego wina, że nie mógł przyjść. To niczyja wina. Gdy badanie USG wykazywało dojrzały pęcherzyk Graafa, dostawała zastrzyk hCG i w ciągu trzydziestu sześciu godzin musiała poddać się inseminacji domacicznej. Akurat tak się nieszczęśliwie złożyło, że Jack miał umówione spotkanie, którego nie mógł przełożyć, bo klient przyjeżdżał z innego miasta.

– Ale nadal staracie się o dziecko w sposób tradycyjny? – zapytał Frank.

Sarah zarumieniła się. Jack miał z tym problemy, coraz częstsze. Ostatnio zupełnie się poddał.

– Kiepsko nam to wychodzi.

– Przyjdź z nim jutro – rzekł Frank. – Zapiszę was na ósmą rano.

Jutro powtórzą dzisiejszy zabieg IUI, została jej jeszcze rezerwa czasowa. Frank wręczył Sarah kartkę z terminem i ulotnił się, by dać jej trochę oddechu.

Pragnęła dziecka i z każdym miesiącem pragnienie

przybierało na sile. To była dwunasta próba. Rok temu nawet nie przeszło jej przez myśl, że to się tak potoczy. Tym bardziej że Jack nie będzie z nią podczas zabiegu. Te wszystkie nieprzyjemne rzeczy były już przykrą rutyną, z którą wciąż trudno się godziła. Choć po tylu miesiącach nie powinna aż tak się przejmować. Poza tą całą wiedzą i technologią było przecież coś więcej, coś głęboko ludzkiego i zasadniczego – pragnienie posiadania potomstwa. Ostatnio nie mogła spokojnie patrzeć na matki z dziećmi. Nawet przelotne spojrzenie budziło dziką tęsknotę i sprawiało niewysłowiony ból.

Byłoby jej lżej, gdyby Jack był tu z nią. Zawsze ją wspierał i podnosił na duchu, we dwójkę jest rażniej. Jednak rano sama mu powiedziała, by nie robił sobie wyrzutów, że nie może przyjść.

– Nie ma sprawy – rzekła przy śniadaniu, uśmiechając się z lekką ironią. – Kobiety codziennie zachodzą w ciążę bez obecności męża.

Jack ledwie podniósł wzrok znad swego BlackBerry.

– Piękna uwaga.

Szturchnęła go nogą pod stołem.

– Powinniśmy nadal próbować tradycyjną metodą.

Popatrzył na nią, w jego oczach przemknął jakiś cień.

– Jasne – rzekł, podnosząc się i pakując teczkę. – Po co innego nam seks?

Już od kilku miesięcy był taki zgryźliwy. Sarah też czuła, że seks ukierunkowany wyłącznie na ciążę stał się bardziej obowiązkiem niż przyjemnością. I nie mogła się doczekać, kiedy to się zmieni, kiedy znów będzie jak dawniej.

Wciąż pamiętała tamte cudowne czasy, gdy Jack widział w niej boginię. Rozkwitała pod jego spojrzeniem, czuła się piękna. Ale tak było, zanim zachorował.

Trudno myśleć o seksie po naświetlaniach jąder, powtarzał ostatnio Jack. I po usunięciu jednego z nich. Już wcześniej ustalili, że jeśli Jack przeżyje, zrobią wszystko, by spełnić marzenie o dziecku. Wielu dzieciach. Po zakończeniu chemii lekarze zapewniali, że ma szansę na odzyskanie płodności. Niestety, tak się nie stało. Jego sprawność seksualna również nie powróciła do normy.

Zdecydowali się na sztuczną inseminację nasieniem Jacka pobranym przed rozpoczęciem agresywnej terapii. Sarah zaczęła przyjmować clomid i regularnie odwiedzać klinikę na North Shore. Rachunki za leczenie były tak monstrualne, że szybko przestała je otwierać.

Na szczęście ubezpieczenie Jacka pokrywało te wydatki, bo prawdopodobieństwo zachorowania na raka w tak młodym wieku nie było brane pod uwagę.

Ich dramat zaczął się we wtorek o jedenastej dwadzieścia siedem. Sarah dokładnie zapamiętała ten moment. Wbiła wzrok w komputer i próbowała normalnie oddychać. Wyraz twarzy Jacka wystarczył, by zalała się łzami, nim jeszcze powiedział słowa, które zmieniły całe ich życie:

– To rak.

Gdy łyzy obeschły, poprzysięgła sobie, że nie odstąpi Jacka ani na moment, przejdzie z nim przez jego cierpienie. Z wypracowanym uśmiechem trwała przy nim, wspierając go i dodając otuchy nawet w tych najgorszych chwilach, gdy wyczerpany chemią był ruiną człowieka.

Ta poranna wymiana zdań obudziła w niej skrucę; by załagodzić sytuację, sięgnęła po broszurę reklamującą aktualne przedsięwzięcie Jacka – luksusowe osiedle na przedmieściach Chicago. „Osiedle dla koniarzy projektu Mimi Lightfoot”.

– Mimi Lightfoot? – zagadnęła, przyglądając się

rozmytemu zdjęciu przedstawiającemu sadzawki i zielone pastwiska.

– W tym środowisku to wielkie nazwisko – zapewnił.
– Dla miłośników koni jest taką szychą, jak Robert Trent Jones dla golfistów.

Co to za trudność zaprojektować tor dla koni? Zachowała to pytanie dla siebie.

– Jaka ona jest?

Jack wzruszył ramionami.

– Kobieta w końskim typie. Sucha skóra, zero makiżu. Włosy związane w koński ogon. – Wydał dźwięk podobny do rżenia.

– Jesteś okropny. – Odprowadziła go do drzwi. – Ale pachniesz pięknie. – Wciągnęła zapach wody Karla Lagerfelda. Dała mu ją w czerwcu. W tajemnicy kupiła tę wodę i pudełko czekoladowych cygar w nadziei, że może będą świętować Dzień Ojca. Niestety, znów okazało się, że nic z tego. Wodę dała Jackowi, a czekoladki zjadła sama.

Spostrzegła, że dziś Jack ubrał się wyjątkowo starannie. Spodnie w kant, droga koszula i krawat.

– Ważni klienci? – zapytała.

– Słucham? – Zmarszczył czoło. – Tak, bardzo ważni. Mamy omawiać strategie marketingowe związane z naszym projektem.

– W takim razie powodzenia. A ty życz mi szczęścia.

– Słucham? – zapytał, wkładając płaszcz Burberry. Sarah potrząsnęła głową, cmoknęła go w policzek.

– Mam dziś gorącą randkę z siedemnastoma milionami twoich rozszalałych plemników.

– O, psiakość. Naprawdę nie mogę przelożyć tego spotkania.

– Nie ma sprawy. – Pocałowała go jeszcze raz. Jack

był myślami gdzieś indziej, ale próbowała przejść nad tym do porządku dziennego.

Wyszła z gabinetu, zjechała windą do garażu. Mogła skorzystać z pomocy parkingowego, lecz nie zrobiła tego. Już i tak czuła się wystarczająco rozpieszczana. Założyła mięciutkie, podbite kaszmirem rękawiczki z jeleniej skóry i usiadła na podgrzewany fotel swego srebrnego terenowego lexusa. Zerknęła na wbudowany fotelik dla dziecka. Jack chyba zbyt się z tym pośpieszył, ale kto wie, może za dziewięć miesięcy będzie jak znalazł?

Na tylnym siedzeniu piętrzył się papier kreślarski, zakupy ze sklepu dla plastyków i stary faks, który chciała oddać do naprawy, choć Jack ją do tego zniechęcał. Wprawdzie w dzisiejszych czasach już nikt nie wysyłał faksów, lecz miała sentyment do tego urządzenia. Kupiła je za pierwsze pieniądze zarobione na rysunkach. Może jeszcze nie rozwinęła skrzydeł, ale teraz, gdy Jack już wrócił do zdrowia, skoncentruje się na swoich pomysłach. Spróbuje rozszerzyć krąg klientów, sprzedawać swoje historyjki obrazkowe do większej liczby gazet. Wielu ludziom wydaje się, że to nic trudnego zrobić rysunki publikowane sześć dni w tygodniu. Przysiąc jednego dnia, a potem cały miesiąc nic nie robić. Nie mają pojęcia, jak ciężko się przebić, zwłaszcza na początku.

Wyjechała z parkingu. Pogoda była koszmarna. Wściekły wiatr niósł mokrą breję znad jeziora Michigan, oblepiał nią samochody i pieszych. Nigdy nie przywyknie do tego klimatu. Kiedy rozpoczęła studia i po raz pierwszy przyjechała tu z sielskiego miasteczka w północnej Kalifornii, była święcie przekonana, że trafiła na burzę stulecia. Nie miała wtedy pojęcia, że w Chicago coś takiego to norma.

– Illinois? – zdumiała się mama, gdy pod koniec liceum Sarah dostała list z informacją, że została przyjęta na studia. – Dlaczego akurat tam?

– Bo tam jest University of Chicago – wyjaśniła Sarah.

– Tu mamy pod bokiem najlepsze uczelnie – powiedziała mama. – Jest Cal, Stanford, Pomona, Cal Poly...

Sarah nie dała się odwieść od swego pomysłu. Chciała studiować w Chicago. Niestraszne jej były odległość, fatalny klimat i monotonny płaski krajobraz. Nicole Hollander, jej ulubiona autorka komiksów, też się tam przeniosła. Sarah instynktownie czuła, że w Chicago jest jej miejsce, przynajmniej na cztery lata.

Nigdy nie planowała zostać tu dłużej, zamieszkać na zawsze. Próbowwała się przyzwyczaić, poczuć jak u siebie. Ogromne miasto przytłaczało ją i zachwycało, klimat – dobijał. Niektóre miejsca budziły grozę i lęk, inne zapierały dech. Wszędzie doskonale jedzenie. Ludzie nad wyraz otwarci i życzliwi, co budziło w niej mieszanę uczucia. No bo jak poznać, na kogo naprawdę można liczyć?

Po studiach zamierzała wrócić do domu. Nie wyobrażała sobie, by mogła zostać tutaj na stałe. Jednak życie potrafi zaskakiwać, wciąż niesie niespodzianki. Niczego nie sposób przewidzieć.

Jack Daly był właśnie taką niespodzianką. Uległa magii jego uśmiechu i nieodpartego czarui. Pochodził z Chicago, był szefem rodzinnej firmy budowlanej. Tutaj byli jego bliscy, przyjaciele i praca. Z góry było wiadomo, gdzie zamieszkają po ślubie.

Jack nawet przez mgnienie nie myślał, by wynieść się z Miasta Wiatrów. Tu było jego miejsce na ziemi.

Kiedyś, w środku przeraźliwej i ciągnącej się w nieskończoność zimy, zasugerowała, by przeprowadzić się w cieplejsze regiony kraju. Uznał, że żartuje. Nigdy później nie wrócili do tego tematu.

– Wybuduję ci prawdziwy dom marzeń – obiecał, gdy się zaręczyli. – Pokochasz Chicago, zobaczysz.

Kochała go. I nie oponowała.

Rak Jacka też był takim zaskoczeniem. Na szczęście przetrwali, co powtarzała sobie każdego dnia. Jednak choroba zmieniła ich oboje.

Dramatycznych momentów nie brakowało również w historii Chicago. W 1871 roku pożar niemal zmiotł je z powierzchni ziemi. Porywisty wiatr podsycił płomienie, pozostawiając po sobie morze popiołów i zgłiszczy. Zrozpaczeni ludzie krążyli po wypalonych ruinach, szukając bliskich, rozwieszając kartki z informacjami o sobie w nadziei, że rozdzielone rodziny jeszcze się odnajdą.

Czasami wyobrażała sobie, że ona i Jack też przedzierają się przez poczerniałe, sterczące w niebo resztki zabudowań, próbując natrafić na siebie. Oni również przeżyli katastrofę. Przeżyli raka.

Przednie koło wpadło w jakąś dziurę, na szybę chlusnęła przemieszana z błotem śniegowa breja. Z tyłu dobiegł głuchy huk. Sarah zerknęła w lusterko. To faks zleciał z siedzenia na podłogę.

– Pięknie – wymruczała pod nosem. – Po prostu super. – Nacisnęła spryskiwacz, lecz na szybę spadło ledwie kilka kropli. Zapaliła się ostrzegawcza lampa.

Samochody powoli posuwały się na północ. Z irytacją uderzyła ręką w kierownicę.

– Nie muszę stać w korku – warknęła ze złością.
– Pracuję u siebie. I może nawet jestem w ciąży.

Jak Shirl postąpiłaby w jej sytuacji? Shirl, bohaterka jej historyjek obrazkowych, była alter ego Sarah. Bardziej pewna siebie, zaczepna i zuchwała, ostrzejsza i impulsywniejsza niż jej twórczyni.

– Co Shirl by teraz zrobiła? – zastanowiła się na głos. I od razu znalazła odpowiedź. – Kupiłaby pizzę.

Na samą myśl o pizzy poczuła taki głód, że aż się roześmiała. Królestwo za pizzę. Już ma takie zachcianki? Może to znaczy, że naprawdę jest w ciąży.

Zjechała w boczną uliczkę i wbiła do GPS-u „pizza”. Jest! Ledwie kilka przecznic dalej powinna być Pizzeria Luigi. Brzmi nieźle. I całkiem nieźle się prezentowała, gdy po kilku minutach Sarah zaparkowała pod wejściem. Czerwony neon oznajmiał, że lokal jest czynny do północy, a pizzę podają tu od 1968 roku. W dodatku najlepszą.

Nasunęła na głowę kaptur i pobiegła do drzwi. Po drodze ją olśniło. Weźmie pizzę i pojedzie z nią do Jacka. Jego zebranie już pewnie się skończyło i biedak umiera z głodu.

Promiennym uśmiechem obdarzyła chłopaka za ladą. Donnie. Takie imię miał wyszyte na kieszonce koszuli. Wyglądał na miłego dzieciaka. Grzecznego, trochę nieśmiałego i dobrze ułożonego.

– Straszna dziś pogoda – zagaił.

– Niestety – potwierdziła. – W dodatku potworny korek. To dlatego zjechałam i przyszedłam tutaj.

– Czym mogę służyć?

– Proszę pizzę na cienkim cieście, na wynos – powiedziała. – Dużą. Do tego colę z dodatkowym lodem i...

– Urwała, wręcz czując na języku słodki smak zimnej coli. Równie dobrze mogłoby być piwo czy margarita. Zwalczyła pokusę. Dość się naczytała książek o bez-

plodności, by wiedzieć, że powinna trzymać się z daleka od kofeiny i alkoholu. Dla wielu kobiet alkohol był czynnikiem wspomagającym, a nie zakazanym owocem. Zajście w ciążę jest o niebo fajniejsze dla tych, którzy nie czytają takich poradników.

– Proszę pani? – dobiegło ją pytanie sprzedawcy.

Poczuła się staro.

– Jedna cola – powiedziała. Być może właśnie w tym momencie zygota dzieli się na kolejne komórki. Nie może potraktować ich kofeiną.

– Jakie dodatki?

– Kielbasa – powiedziała bez zastanowienia – i papryka. – Tęsknym wzrokiem obrzuciła menu. Czarne oliwki, karczochy, pesto. Uwielbiała te dodatki, ale Jack ich nie znosił. – To wszystko.

– Przyjąłem. – Chłopak oprószył ręce mąką i zabrał się do pracy.

Poczuła ukłucie żalu. Powinna dorzucić przynajmniej czarne oliwki na połowę pizzy. Jednak nie. Podczas leczenia Jack stał się wyjątkowo wyczulony na jedzenie. Nawet sam widok niektórych rzeczy przyprawiał go o mdłości, a nakłonienie go do jedzenia było wtedy koniecznością. To wtedy zrezygnowała z wielu smaków, byle tylko on zechciał coś zjeść. Z czasem tak jej to weszło w krew, że zapomniała o swoich upodobaniach.

Jack już nie jest chory, upomniała się w duchu. Zamów sobie te cholerne oliwki.

Zwalczyła pokusę. Była jedna rzecz, o której nikt wcześniej jej nie powiedział: gdy ktoś zapada na nowotwór, choroba dotyka wszystkich jego bliskich. Matka Jacka nie mogła spać, ojciec co wieczór zagłuszał smutek w barze, rozrzucone po kraju rodzeństwo Jacka natychmiast przyleciało, by być przy chorym bracie.